TYGODNIK POWIEŚCIOWO-NAUKOWY.

WYCHODZI CO CZWARTEK KAŻDEGO TYGODNIA.

W. DYNIEWICZ, Wydawca i właściciel, 532 Noble Street, CHICAGO, ILLINOIS.

PRENUMERATA ROCZNA WYNOSI:

W Stanach Zjednoczonych i Canadzie........$1.00
Do Europy, Meksyku, Ameryki Południowej, Azyi, Afryki i Australii........$1.50

PRENUMERATĘ PRZYJMUJE SIĘ JEDYNIE NA CAŁY ROK I MUSI BYĆ NAPRZÓD OPŁACONĄ.

Entered at the Post-Office at Chicago, Illinois, as Second-Class Matter.

No. 23. Chicago, Ill., Czwartek, 9-go Czerwca, 1898 Rok XII.

Książę Srebrny.

POWIEŚĆ Z CZASÓW IWANA GROŹNEGO

HR. TOŁSTOJA.

(Z rosyjskiego przełożył W. Grajnert).

(Ciąg dalszy).

Zgryzoty sumienia nie każdego razu po przelewie niewinnej krwi napadały Jana. Zależały one i od czego innego. Niebieskie znamiona, nagły huk grzmotu, nieszczęścia narodu przerażały bujną cara wyobraźnię i pobudzały go nieraz do żałowania za grzechy wobec całego narodu; gdy zaś nie widział ni znamion, ni głodu, ni pożaru — jego głos wewnętrzny milczał i sumienie drzemało. Tak samo było i teraz. Serce Jana biło spokojnie. Czuł po spełnieniu okrucieństw jakoweś zadowolenie i zaspokojenie swych żądzy. Tak głodny nasyca się jedzeniem. Więcej z przyzwyczajenia niż dla potrzeby serca, wracając do Słobody, zatrzymał się dni kilka w Troickiej Ławrze na nabożeństwie.

Całą drogę kilku opryczników, jadących przed carem, rzucało garściami srebrne pieniądze, a gdy wyjeżdżał z Ławry zostawił także wiele pieniędzy archymandrycie, by ten się modlił za jego zdrowie.

Tymczasem w Słobodzie oczekiwało Jana coś niespodziewanego.

Godunow, wysłany naprzód by przygotował uroczyste przyjęcie dla cara, po spełnieniu zlecenia, siedział u siebie w jadalnej komnacie, oparty łokciami o dębowy stół. Dumał o zdarzeniach ostatnich dni, o karze śmierci, i o tem, jak mu się udało wywinąć od obecności na niej, i o zagadkowym charakterze groźnego cara, i o tem, jakby to

nadal utrzymać się u niego w łaskach, gdy wszedł służący oznajmiając, że u ganku oczekuje książę Nikita Romanowicz Srebrny.

Przy tem imieniu Godunow zdziwiony wstał z ławy. Uciekł z więzienia i najmniejsze z nim stosunki mógł Godunow przypłacić głową. Lecz odmówić księciu gościny, lub wydać go carowi, byłoby rzeczą niegodziwą, na którą nie mógł odważyć się Godunow, bo by wnet stracił ufność u narodu. W tejże chwili przyszło mu na myśl, że car jest teraz w dobrem i miłosiernem usposobieniu.

Sam na spotkanie nie wyszedł, kazał tylko poprosić Srebrnego do izby. Nikogo więcej nie było. Raz już postanowiwszy przyjąć księcia, Godunow starał się okazać wielce uprzejmym dla niego.

— Witaj, książę — rzekł, ściskając Nikitę Romanowicza — siadaj z łaski swojej. Jakże to, że cię znów w Słobodzie oglądamy, Nikito Romanowiczu? Pozwólże, niech cię nasamprzód czem przyjmę, bo myślę, żeś się musiał znużyć w drodze.

Godunow klasnął w ręce i wnet postawiono na stole zakąski i kubki z winem.

— Powiedz, książę — pytał Godunow z uwagą — czy cię widzieli jakeś wszedł na ganek?

— Nie wiem — odpowiedział Srebrny otwarcie — może i widzieli, nie ukrywałem się, zajechałem prosto przed twoje okna. Wiem przecieć, że nie trzymasz z oprycznictwem.

Godunow się zmarszczył.

Srebrny dodał z ufnością:

— Borysie Fedorowiczu, nie sam jeden tu jestem, ze mną przyszło około dwustu opryszków.

— Co to znaczy, książę — spytał Godunow.

Srebrny mówił dalej:

— Opryszków zostawiłem za rogatką. Razem przynosimy głowy carowi. Niech nas karze lub nam przebaczy. Wedle woli.

— Słyszałem, książę, słyszałem, jakeś z nimi Tatarów pobił! ale czy wiesz, co się od tej pory stało w Moskwie?

— Wiem — odpowiedział zachmurzony Srebrny — Dążyłem do was w myśli, że już koniec przecie raz będzie z oprycznictwem, a tu jeszcze gorzej, niż dawniej było. Oh Bóg przebaczył carowi! Ale ty masz grzech Borysie Fedorowiczu, że tylko milczysz i patrzysz na wszystko.

— Eh Nikito Romanowiczu, jak widać toś się nic nie zmienił! Cóżbym ja carowi powiedział? posłuchałby mnie, co?

Srebrny odrzekł uparcie:

— I choćby nie posłuchał toś tak czy tak powinien zawsze mówić. Od kogóż on się prawdy dowie, jeśli nie od ciebie?

— A ty myślisz, że on prawdy nie wie że oczywiście wierzy tym głupstwom, dla których tylu ludzi stracono?

Tu Godunow przyciął usta, bo zmiarkował, że niepotrzebnie się wygadał, ale wnet się uspokoił, gdy spojrzał na otwartą twarz Srebrnego, nie mającą najmniejszego zdradzieckiego rysu.

— Nie — mówił dalej półgłosem — nadarmo mnie winisz, kniaziu, car karze tego, do kogo ma złość, a serca jego nikt nie jest w stanie przemienić. Serce carskie w ręku boskim, jak mówi Pismo ś. Morozow powiedział mu prawdę w oczy, i cóż wygrał? Jego stracono, a drugim przez to nie pomógł. Ale ty, Nikito Romanowiczu, widać bardzo nie stoisz o swoją głowę, kiedy wiedząc o karze śmierci, nie bałeś się przyjść do Słobody.

Przy imieniu Morozowa Srebrny westchnął. Lubił Drużynę Andrejewicza, chociaż bojarzyn pochwycił jego szczęście.

— I cóż, Borysie Fedorowiczu! — odpowiedział — co ma się stać, to się stanie; a i prawdę powiedziawszy, życie mi się sprzykrzyło. Nie nęci teraz życie na Rusi.

— Słuchaj, książę, sam siebie nie strzeżesz, widać już taka Twoja natura, ale Bóg cię strzeże. Mimo to, żeś lazł poprostu w pętlicę, cały zawsze jesteś. Musisz mieć napisane na czole, że nigdy nie zginiesz. Gdybyś tak z tydzień temu wrócił — niewiadomo coby było z tobą, a teraz jest niby jeszcze jakaś nadzieja. Nie właź tylko zaraz w oczy carowi, niech ja się z nim wprzódy obaczę.

— Dziękuję ci Borysie Fedorowiczu, jeno o mnie się zbyt nie kłopoc; zaś, jeśli można, wyratuj z biedy rozbójników — bardzo zasłużyli na przebaczenie po bitwie z

gami.

Godunow spojrzał z zdziwieniem na Nikitę Romanowicza. Nie mógł zmyknąć z prostodusznością księcia, a owo lekceważenie własnego życia wydało mu się nienaturalnem.

— Czy to książę — spytał — ze zmartwienia już nie chcesz żyć? czy co?

— Może i ze zmartwienia. Po cóż jeszcze żyć teraz? Czy wierzysz Borysie Fedorowiczu, że nieraz pomimo woli, przychodzi mi na myśl Kurbskij; wspomnę o nim — i samemu mi się jakoś wnet strasznie uczyni. Ot tak wydaje się, porzuciłbym ojczyznę i poszedł do Lachów, gdyby nie byli wrogami naszymi.

— Tak książę, na te czasy mamy tylko dwie drogi, albo tak uczynić, jak Kurbskij na zawsze uciekać z ojczyzny, albo tak, jak ja, zostawać przy carze i szukać jego łaski; a ty ni to — ni owo. Od cara nie uciekasz i z carem nie trzymasz; tak, kniaziu, nie można — wybieraj jedno z dwojga Jeśli już chcesz zostawać na Rusi, to wypełniaj wolę carską. A jeśli cię polubi. to bardzo być może i sam odwróci się od opryczników. Gdyby tak nas dwóch było na przykład koło niego, jedenby drugiego podtrzymywał. Dzisiajbym ja bąknął słówko, jutro ty; cośkolwiekby mu zawsze w pamięci utkwiło. Przecieć, powiadają, i kropla jak ciągle pada na jedno miejsce, to i w kamieniu dziurę zrobi; gwałtem nic nie uczynisz.

— Gdyby to nie był car — rzekł smutnie Srebrny — wiedziałbym co czynić, lecz teraz głupieję. Przeciwko niemu — Bóg nie każe, a z nim — nie mogę. Niech mnie na kawałki rozerwie, a z opricznictwem nie będę trzymał.

— Czekaj. nie rozpaczaj! Przypomnij sobie com ci wtedy mówił. Nie przeczmy carowi, zostawmy opryczników w spokoju, a sami się za łby pobiorą. I tak już trzech głównych nie ma; ani obudwóch Basmanowych, ani Wiaziemskiego. Cierpliwości! a całe oprycznictwo na śmierć się wygryzie.

A do tego czasu co się stanie?

— A do tego — odpowiedział Godunow, nie chcąc od razu nalegać na to, co poddał Srebrnemu — do tego... jeśli car ci przebaczy, możesz znów iść na Tatarów. Sprawa przez to nie ucierpi.

Srebrnemu dwa naraz wrażenia nie mogły się łatwo pomieścić w głowie, lecz nadzieja na walkę z Tatarami pokonała na jakiś czas rozpacz, która nim owładnęła i odpowiedział:

— Tak. Jedno co nam się ostało, to gromić Tatary. Gdyby nie czekać, aż sami przyjdą, tylko wprost uderzyć na Krym wszystkiemi pułkami, i Kozaków wziąść do pomocy, to być może i Krymby się wzięło.

Na tę myśl nawet się książę uśmiechnął.

Potem Godunow zwrócił rozmowę na dziwną jego ucieczkę z więzenia, a później na riazański pogrom.

Już się ściemniało a biesiadnicy ciągle jeszcze siedzieli przy kubkach z winem.

W końcu Srebrny wstał.

— Dokąd Nikito Romanowiczu? Zostań u mnie, przenocuj. Jutro przyjedzie car, uprzedzę go o tobie.

— Nie mogę, Borysie Fedoryczu, muszę iść do swoich; boję się by z kim nie zadarli. Gdyby car był w Słobodzie, poszlibyśmy prosto do niego, i niechby się stało wedle woli boskiej; a z tymi katami nie ma co mówić! Choć zostawiłem opryszków na uboczu, pod samym borem, ale zawsze może zahaczy o nich jaki objazd.

— No, żegnaj Nikito Romanowiczu. Pamiętaj nie leź carowi w oczy; czekaj, aż po ciebie przyślę.

— Ale, ale, wstrzymaj się, źle idziesz — dodał Godunow, widząc, że Srebrny podąża do frontowych schodów, i wziąwszy go za rękę, przeprowadził do tylnego wyjścia.

— Żegnaj Nikito Romanowiczu — powtórzył — Bóg litościwy, może się uda twoja sprawa.

Godunow zaczekał aż Srebrny wsiadł na koń i wyjechał bocznemi wrotami; poczem wrócił do izby bardzo zadowolony, że książę nie chciał nocować u niego.

Nazajutrz car wjechał do Słobody z tryumfem, niby po otrzymanem zwycięztwie. Oprycznicy przeprowadzali go od rogatki do samego dworca z krzykami hojda! hojda!

Jedna tylko mamka Onufrowa przyjęła go przyklęstwy.

— Zwierzu ty jakiś — rzekła, spotykając cara na ganku — jak cię jeszcze trzyma ziemia! krew czuć od ciebie, kacie! Jak śmiałeś po moskiewskim pogromie stanąć przed św. Sergiuszem! I ciebie i twój pułk przeklęty utrzaśnie grom boży.

Teraz jednak mamczyne słowa żadnego nie wywarły wrażenia. Na dworze nie było ani grzmotów ani burzy. Słońce wspaniale świeciło na czystem niebie i olśniewało pozłotę kopuł dworca. Jan ani się odezwawszy przeszedł koło staruszki do komnat.

— Poczekaj, zobaczysz! - mówiła ta dalej przeprowadzając cara oczyma i waląc kosturem o podłogę — gromy boże posypią się na twój dworzec, w proch obrócą całą złodziejską Słobodę.

Stara oddaliła się do świetlicy, wolno powłócząc nogami i gniewne rzucając spojrzenia na dworaków, którzy chowali się przed nią w zabobonnym strachu.

Tego samego dnia, po obiedzie, Godunow, widząc, że car jest w wesołem usposobieniu i ma zamiar udać się na spoczynek, czego zwykle nie czynił, poszedł za nim do sypialni. Stosunki, w jakich się znajdował z Janem, dawały Borysowi do tego zupełnie prawo, mianowicie, gdy miał donosić carowi o czem, co nie każdy mógł słyszeć.

W carskiej sypialni dwa były łóżka. Jedno wązkie o gołych deskach, na którem Iwan Wasiliewicz kładł się dla umartwienia ciała, gdy go dręczyło sumienie; drugie daleko szersze, zasłane było wielką owczurą, piernatem i jedwabnemi poduszkami. Na ostatnim car odpoczywał, gdy niczem nie miał zakłóconych myśli. Prawda, zdarzało się to bardzo rzadko, i wielkie łóżko było po większej części nietykane.

Trzeba było znać dobrze Iwana Wasiliewicza, by odgadnąć prawdziwy nastrój jego myśli. Nie zawsze, gdy go dręczyło sumienie, zdolnym był do miłosierdzia. Często przypisywał owe udręczenia opętaniu szatana, który go chce odciągnąć od prześladowania zdrady, i wtedy miasto zmiękczyć swe serce, car na przekór djabłu, oddawał się jeszcze większym okrucieństwom, choć zapamiętale bił czołem o ziemię i zapalczywie się modlił.

Nie zawsze też widząc spokój na twarzy Jana, można było być pewnym, że ten sam spokój panuje w jego duszy. Był on często maską, i car obdarzony niezwykłą przenikliwością i zdolnością odgadywania cudzych myśli lubił nieraz omamić przeczucia tego, z kim rozmawiał, i przerazić go nagłem zjawieniem gniewu w tej samej chwili, gdy ten spodziewał się łaski. Lecz Godunow zdołał zbadać najmniejsze odcienia carskiego gniewu, i niezwykłym wiedziony instynktem, odgadywał i tłómaczył sobie niepojęte dla drugich zmiany jego twarzy.

Borys Fedorowicz zaczekał aż Jan się położył na puchowej pościeli, poczem nie widząc nic w nim oprócz męczenia, rzekł bez żadnych wstępów:

— Czy wiesz, carze, twój opalnik się znalazł.

— Który? — spytał Jan ziewając.

— Nikita Srebrny, ten sam, co Wiaziemskiego, zdrajcę twego porąbał i do więzienia był wtrącony.

— Aa! — powiedział Jan — złapali wróbla! któż go schwycił?

— Nikt, carze, sam przyszedł i wszystkich opryszków przyprowadził, którzy pod Razaniem Tatarów pobili, a teraz razem z Srebrnym przyszli prosić o przebaczenie.

— Opamiętali się! — rzekł Jan. — Cóż, widziałeś go?

— Widziałem, carze; prosto do mnie zajechał. Myślał, że twoja carska miłość jest w Słobodzie, i prosił bym cię o nim uprzedził. Chciałem go wziąść pod straż, alem sobie pomyślał: może Grygorij Łukjanych powie, że pod nim dołki kopię, a Srebrny tak czy tak nie ujdzie, kiedy sam przyniósł głowę.

Godunow mówił otwarcie, patrząc prosto w oczy, bez żadnego zamięszania, jak gdyby nie miał najmniejszego współczucia dla Srebrnego. Gdy wczoraj wyprowadził go tylnemi drzwiami, nie czynił tego w celu ukrycia jego odwiedzin przed carem (byłoby to zanadto niebezpiecznem) ale, żeby który z dworaków nie uprzedził o tem i jako pierwszy zwiastun, nie usposobił go przeciw samemu Godunowowi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SYN WDOWY,

POWIASTKA HISTORYCZNA Z XVI WIEKU.

(Ciąg dalszy.)

Posiłek i sen pokrzepił biedną gromadkę. Lecz chociaż tkacz przyjął ich gościnnie, niegodziwy stryj Willibalda, radzca Hoppinger, wstydząc się ubogich krewnych, wyjednał u burmistrza, aby rodzinę biedną wypędzono z miasta. Brauner miał przyjaciół pomiędzy mieszczanami i potrafił przez ich wpływy wyjednać, że powstrzymano na jakiś czas wykonanie rozkazu. O to mu też właśnie chodziło, ażeby przynajmniej nie wydalili nieboraków podczas srogiej zimy.

Poczciwy tkacz wziął dla rodziny na kredyt kilka potrzebnych narzędzi do wyrabiania grzebieni i kilkanaście rogów. Krystyna dawała gotową robotę znajomemu kupcowi na sprzedaż, a Hoppingerowa z zarobku nie tylko wypłaciła ten dług, ale jeszcze chciała choć cokolwiek przyczynić do wydatków, na co jednakże Brauner nie pozwolił.

I byliby nasi wygnańcy mogli się utrzymać w Weinsbergu, ale pan radzca stryj, używał wszelkich zabiegów i skoro nadeszła wiosna, mimo starań tkacza wypędzono ich z miasta.

Milcząc w głębokim pogrążeni smutku, wędrowała rodzina ku górom. Żadne z dzieci nie śmiało zapytać gdzie ich matka prowadzi, nie chcąc powiększać jej boleści.

IV.

Obszar, którym szli nasi podróżni, był prześliczny. Rzeki Brettach i Kocher, przerzynały piękny kobierzec łąk, dążąc ku Nekarze. Ponad wioskami na stromych wzgórzach wisiały rozbójnicze zamki Jaxthausen, Berlichingen, których właściciele żelazną ręką uciskali całą okolicę.

Opodal drogi na wzgórku, stało trzech mężów, pomiędzy którymi znajdował się pustelnik. Jego sąsiad po lewej, mógł mieć zaledwie lat trzydzieści, średniego wzrostu, z ogorzałą twarzą, krótką czarną brodą i ognistemi oczyma, ubrany w kolet z grubego sukna, obcisłe spodnie i kapelusz z szerokiemi skrzydłami.

Był to Tomasz Munzer, słynny później w wojnach chłopskich. Po prawej stał w bogatszem ubraniu, z puginałem za pasem, młodszy nieco rycerz. Na jego wysokim czole malowała się stałość, oczy błyszczały odwagą, a na ustach czasami pokazywał się uśmiech pogardy.

Zwał się Ulryk von Hutten, poeta niemiecki; a zarazem wielki stronnik reformacyi.

— Nieszczęsna kraino, mówił Munzer, dopókiż będziesz wystawioną na samowolę panków, czyż nigdy błogi spokój nie zawita dla przemyślnych mieszczan i pracowitych wieśniaków. Zdaje mi się, że jednak wkrótce nadejdzie chwila, gdzie te rozbójnicze zamki pójdą w perzynę, a nad całemi Niemcami jeden tylko będzie pan, Maxymilian!..

— Niech Bóg uchowa, zawołał Ulryk, aby kiedykolwiek przyjść miało do wewnętrznych zaburzeń. Czy masz wyobrażenie jakie klęski spaść mogą na tę nieszczęsną ziemię, jeżeliby kiedy przyszło do wojny domowej. Wszędzie po miastach i wsiach panuje niechęć przeciwko rycerstwu, lud napojony naukami reformacyi, nienawidzi panów duchownych i klasztorów, a jedna iskra może okropny pożar wzniecić. Każdy zacny człowiek, powinien wszelkiemi sposobami starać się temu zapobiedz. Do cesarza Maximiljana trudno się docisnąć, lecz Karol hiszpański, przyszły monarcha Niemiec, nie jest tak niedostępnym. Do niego zamyślam się udać i błagać, aby się ulitował nad naszą niedolą. On zdoła poskromić, jeżeli zechce, burzliwych wazali rzeszy, oczyścić drogi z zbrojnych rabusiów i nada ludowi prawa zabezpieczające go od samowoli trzechset

drobnych książętek, hrabiów i opatów, uciskających rzeszę.

— Uczyń to mój bracie, rzekł pustelnik, ale nie mam wielkich nadziei. Król Karol ma zanadto wiele do czynienia z burzliwymi Hiszpanami, aby miał czas o naszej biedzie pomyśleć, a z resztą jeszcze nie jest cesarzem.

— Będę cierpliwie oczekiwał skutku twoich zabiegów, lecz jeżeli nic nie wskórasz, naówczas będę działał na własną rękę, rzekł Munzer.

— Zaklinam cię, nie czyń tego, błagał Ulryk z Hutenu, broń gwałtu do niczego nie prowadzi i srogi wywołuje odwet; zamiast zapewnić szczęście Niemcom, ściągniesz na nie najokropniejsze klęski.

I trzej ludzie podawszy sobie ręce, rozeszli się każdy w swoją stronę. Munzer puścił się właśnie zkąd nadchodziła wygnana z Weinsberga rodzina i wkrótce ją spotkał.

— Pokój Boży niech będzie z wami! wymówił to zwykłe pozdrowienie ówczesne, nie patrząc prawie na nich.

— Munzer! Tomasz Munzer! zawołała wdowa, poznając dawnego przyjaciela swego męża.

Na te słowa spojrzał Munzer ze zdziwieniem i rzekł:

— Gabryela Hoppinger! tu na gościńcu, w takim stanie. Cóż tu robicie? gdzież Ruprecht wasz mąż?

— Tam! odrzekła wdowa, wskazując Niebo.

— A więc nieżyje, mówił Tomasz ze smutkiem, a wy biedne sieroty dokąd dążycie?

— Wypędzono nas z Heilbronu i Weinsberga, sama nie wiem, gdzie się udać.

— Pójdźcie ze mną, jeżeli panowie radni mają serca równie twarde, jak rycerstwo po zamkach siedzące, to zapukamy do chaty wieśniaczej, a tam was przyjmą z otwartemi rękoma.

To powiedziawszy, ujął za rękę Elżbietkę i ruszył przodem, a za nim postępowała Gabryela, opierając się na ramieniu syna.

I szli blizko trzy godziny, w którym to czasie Gabryela opowiedziała przewodnikowi wszystkie swoje zmartwienia i kłopoty. Nakoniec dostali się do wioski Bokingen, leżącej u stóp zamku Helfenstein i należącej do barona tegoż nazwiska.

Munzer zastukał do pierwszej chaty na brzegu wioski, natychmiast we drzwiach ukazała się niemłoda niewiasta i wesoło przywitała przybysza.

— Ach! to wy ojcze Tomaszu, zupełnie już zapomnieliście o dawnych starych znajomych, czy się to godzi?

— Dobra Zuzanno, odpowiedział Munzer, wiecie dobrze, że mam bardzo mało czasu, a zapewne i dziś nie byłbym was odwiedził, gdyby nie goście, których wam przyprowadzam, prosząc dla nich o przytułek.

— Witajcie serdecznie, zawołała Zuzanna, zwracając się ku wdowie i jej dzieciom, przyjaciele ojca Tomasza, są dla mnie miłymi gośćmi.

Munzer opowiedział wieśniaczce nieszczęścia, jakie spotkały Gabryelę kobieta załamała ręce i rzekła:

— Mój Boże! cóż to za okropne czasy, kiedy też biednej wdowie odmawiają przytułku po miastach i w taką zimę wypędzają w pole. Ale jeżeli bogacze miejscy są nielitościwi, to pod wiejską strzechą znajdziesz lepsze serca. No, pójdźcież do izby, znajdzie się kawałek chleba i kącik do przespania, a o robotę nie tak u nas trudno.

I gościnna kobiecina wprowadziwszy do chaty rodzinę, usadowiła matkę z córką na ławie przy kominie, na którym płonął przyjemny ogień, a postawiwszy przed niemi misę polewki grochowej, zapraszała uprzejmie aby się posilili, bo to młode i pewnie ma niezgorszy apetyt.

Wtem drzwi się otworzyły i Willibald wpadł do izby blady i przerażony.

— Co to jest zawołała matka z przestrachem.

— Ach matko! matko, co ja widziałem.

— Mów, mów, Willibaldzie, co się stało?

— Na gościńcu niosą człowieka pokrwawionego, zdaje się, że lada chwila skona.

W tej chwili wszedł Erdman, mąż [illegible]zanny, z twarzą pałającą gniewem, [illegible] ze łzami prawie:

— Ach! biedny nieszczęśliwy Kunz.

— Co to takiego? zapytał Munzer, [illegible]

zając się ku Erdmanowi.

— To wy ojcze Tomaszu, witajcie! mówił wieśniak, ściskając mu rękę. Wystawcie sobie moi mili. Żona Kunza niosła parę kur na targ do Weinsberga. Na drodze, spotkał ją Otton, dowódzca straży zamkowej, i zaczął ją bić za to, że się poważa drób sprzedawać gdzieindziej, a nie w zamku. Tymczasem nadbiegł Kunz i zaczął bronić żonę, ale otrzymał tak srogi cios płazem szablicy, że padł bez zmysłów na ziemię krwią oblany. Oboje niosą do chaty, myślałem, że mi serce pęknie kiedy ich ujrzałem.

— Trzeba iść do nich, iść natychmiast, zawołała litościwie Zuzanna.

— Niech cię Bóg uchowa, kobieto! krzyknął Erdman, czy chcesz, aby nas coś podobnego spotkało, gdyby Otton zobaczył, że ratujemy Kunza, kazałby nas niezawodnie wtrącić do wieży. Jak zmierzch zapadnie pójdziemy tam, ale teraz nie można, bo zamiast pomocy, tylkobyśmy powiększyli nieszczęście.

Munzer opowiedział Erdmanowi z czem przyszedł i kogo przyprowadził. Poczciwy wieśniak z otwartemi rękami przyjął gości, a potem odprowadził Tomasza daleko za wieś, słuchając słów pociechy, któremi Munzer starał się go uspokoić.

Odtąd życie biednej rodziny stało się o wiele przyjemniejszem. Gabryela nie prowadziła grzebieniarstwa, lecz trudniła się nauczaniem wiejskich dziewcząt rozmaitych robót. Elżbietka szyła dla wieśniaczek, a Willibald pomagał Erdmanowi w rolnych pracach, za co mieli życie i okrycie uczciwie zarobione.

- Ale na wiosnę pojawił się znów Munzer i zabrał trzynastoletniego Willibalda do Nerdlingen, gdzie go umieścił w szkole u magistra, a gdy się nauczył czytać, pisać i rachować, zaprowadził chłopca do Norymbergii i tam oddał na naukę do złotnika. Rzemiosło to było wówczas uważane na tym stopniu co sztuki piękne, dosyć wymienić sławnego złotnika włoskiego Benvenuta Cellini, którego monarchowie jak przyjaciela traktowali, aby mieć wyobrażenie czem w szesnastym wieku było złotnictwo.

Gabryela lubo doznała wielkiej przykrości, rozstając się z synem, była przecież bardzo szczęśliwa, że Willibald wyjdzie na człowieka i pocieszała się wiadomościami, jakie jej od czasu do czasu przywoził poczciwy Andrzej furman, który często po towary bywał w Norymberdze.

Willibald wkrótce znaczne uczynił postępy w swej sztuce, po czterech latach nauki, wyzwolonym został na czeladnika i przy tej sposobności otrzymał od swego majstra w nagrodę pilności piękny relikwiarzyk na pamiątkę, i sporą kwotę pieniędzy, dla ułatwienia odbycia wędrówki.

Oprócz złotnictwa, chłopiec wyćwiczył się także w sztuce robienia bronią, a mianowicie w strzelaniu z muszkietów i śmigownic.

Trzeba wiedzieć, że miasta niemieckie, średnowieczne wszystkie były ufortyfikowane, raz dla obrony od zagranicznego nieprzyjaciela, a powtóre przeciw książętom, hrabiom i rycerstwu, którzy nęceni bogactwem kupców, nieraz kusili się o zdobycie i złupienie miast. Dla tego też zawsze były zamknięte bramy i straż czuwała na murach i dawała znak trwogi na widok nieprzyjaciela. Naówczas uderzano we dzwony i cała ludność spieszyła na mury. Ponieważ zaś kosztownem i niebezpiecznem było utrzymywanie żołnierzy dla obrony miast, zatem majstrowie wszystkich cechów, obowiązani byli na pierwszy odgłos trwogi spieszyć do baszt sobie wyznaczonych i bić się z nieprzyjaciołmi; dla tego też i Willibald poznał rzemiosło wojenne, w czasie swojego pobytu w Norymberdze.

V.

Jednego pięknego majowego ranka 1522 roku, a więc w pięć lat po wypadkach powyżej opisanych szedł przystojny, ośmnastoletni młodzieniec drogą od Wurzburga. Ubiór jego oznaczałby raczej szlachetne pacholę, gdyby nie tłumoczek zawieszony na plecach, dawał poznać, że to młody rzemieślnik. Twarz jego czerstwa i rumiana, znamionowała młodość i zdrowie; w oczach błyskał ogień odważnej duszy, a z porządnych szat i szlachetnej postawy poznać można było, że zamiast spędzać czas, jak to

drudzy robili na hulankach i kłótniach, zajmował się pracą i posiadał większe od swych kolegów wykształcenie.

Był to nasz Willibald. Po ukończeniu nauki, pospieszał odwiedzić swoją siostrę.

Trudno opisać radość Gabryely na widok syna. Zamiast szczupłego i niezgrabnego niedorostka, ujrzała dorastającego mężczyznę, o czem świadczył delikatny puszek, mszący się na górnej wardze. Pytaniom i odpowiedziom nie było końca, musiał jej wszystko opowiedzieć, co zaszło od chwili rozłączenia. Potem pokazał relikwiarzyk, dowód zręczności nabytej w złotnictwie i podarował go siostrze, która także na przystojne dziewczę przez te lat kilka wyrosła.

Erdmanowie niemniej się ucieszyli z przybycia Willibalda, uważając go jakby za członka swej rodziny.

Umówiono się, że Willibald dwa tygodnie poświęci matce, a potem puści się na wędrówkę do miast niemieckich, a nawet włoskich, dla wyćwiczenia się w swej sztuce.

Szybko i przyjemnie czas ten schodził, Willibald sprawiał matce różne drobne niespodzianki, opowiadał Erdmanowi i domownikom o Norymberdze. Wieczorami zaś wychodził pod wielką lipą na końcu wsi leżącą i zgromadzonym po pracy wieśniakom, śpiewał piosnki Hans Sacksa i inne, których się wyuczył podczas pobytu w mieście.

Jednego wieczora śpiewał właśnie piosnkę o rozbójniczym Götzu, opisując jego gwałty, kiedy przejeżdżający tamtędy baron Helfenstein, usłyszawszy głos, zbliżył się ku gromadzie, aby posłyszeć kto i co śpiewa. Lecz zaledwie słowa pieśni go doleciały, kiedy uniesiony gniewem, spiął konia ostrogami, rozbił gromadę wieśniaków i zatrzymawszy się przed Willibaldem, groźno zawołał:

— Jak śmiesz ty drągalu znieważać szlachetnego rycerza wyciem swoim!

— Nie jestem waszym służalcem, abyście mnie znieważali! zawołał zrywając się z miejsca Willibald. Śpiewam co mi się podoba, a ten o którym śpiewam nie jest szlachetnym rycerzem, ale łotrem bez czci i wiary.

— Przeklęty hultaju! ja ci zamknę twoją paszczękę!

I już podniesiony harapnik miał krwawą bruzdę zaorać na twarzy młodzieńca kiedy ten szybkością błyskawicy pochwycił Helfensteina za rękę i tak ją silnie ścisnął iż harapnik upadł na ziemię.

— Jesteś w mej mocy dostojny rycerzu! i mógłbym ci równą odpłacić monetą jaką chciałeś mnie uczęstować, lecz jestem szlachetniejszy od ciebie. Jedźcie więc wolno, a na drugi raz nie napastujcie ludzi, którzy wam nic złego nie uczynili.

I uderzył harapnikiem konia, który szybko uniósł barona dyszącego wściekłością.

— Na miłość Boską! cóżeś ty zrobił Willibaldzie?! zawołała matka chwytając go za ręce.

— A więc miał mię uderzyć? krzyknął młodzieniec gwałtownie, czy jestem jego poddanym?

— To prawda, rzekł Erdman, że cię zaczepił niesłusznie, ale raczej było uciekać, jak szukać z nim zaczepki; przed potęgą Helfensteina drżą okoliczne miasta i tyżbyś biedny chłopcze śmiał go obrażać bezkarnie? Uchodź, uchodź natychmiast, bo lada chwila nadbiegnie Otton ze strażą zamkową, a gdy raz się dostaniesz w ich ręce, żadna moc cię wyzwolić nie zdoła.

— Nie myślę wcale uciekać, zobaczymy czy się odważy targnąć na mnie.

Cała gromada wybuchła głośnym śmiechem.

— Mój kochany, nie kuś szatana, nie tacy jak ty poginęli z rąk Helfensteina; umykaj póki pora jeżeli nie chcesz twym nieszczęśliwym losem wtrącić matki do grobu.

— Uchodź! uchodź prędzej! nalegali wieśniacy.

— A więc dobrze, ulegam gwałtowi przez wzgląd na moją matkę. lecz mam nadzieję, że się jeszcze kiedyś spotkamy z panem baronem.

I zarzuciwszy tłomoczek, przypasał miecz, uścisnął matkę i siostrę, a pożegnawszy wieśniaków, szybkim krokiem podążył w góry.

W pół godziny potem nadbiegł Otton, na czele kilku zbrojnych. Przetrząśnięto całą wieś naprożno, Willibalda nie było. Nie mogąc więc schwytać syna, wziął Gabryelę i Elżbietę i uprowadził na zamek, pomimo

płaczu i prośb wieśniaczek.

W tej chwili Willibald zapuszczał się coraz dzikszą okolicę, las w tem miejscu był tak gęsty, iż niespodziewał się daleko ujść przed ranem; tymczasem baron mógł kazać rozpuścić psiarnią, któraby go niezawodnie wyśledziła.

Znużony, nie wiedząc co czynić, usiadł na złomku skały.

Wkrótce jakieś głosy doleciały jego uszu. W mniemaniu iż to pogoń, wydobył miecz, gotując się do obrony. Wtem z gęstwiny wyszło dwóch ludzi, a ujrzawszy nieznajomego, także dobyli oręże.

Lecz pierwszy z nadchodzących, skoro mu się przypatrzył, opuścił oręż i wyciągnął ku niemu rękę. Willibald z zadziwieniem poznał w nim pustelnika, który mu na gościńcu Heilbrońskim ocalił życie; tym razem jednak miał na sobie ubiór żołnierski.

— Co tu robisz, chłopcze? widzisz, że cię poznałem pomimo tylu lat niewidzenia.

Willibald opowiedział mu swą przygodę.

— O mój kochany, dziękuj Bogu, żeś nas napotkał, bo jak Bóg żywy, takbyś wpadł do jutra w ręce Helfensteina. Musisz go zabrać Ulryku, dodał zwracając się do swego towarzysza. Oto Ulryk von Hutten, zacny mój i wszystkich nieszczęśliwych przyjaciel. Zaprowadzi cię on do zamku rycerza Franciszka Sikingena, gotującego się do wojny z Elektorem trewirskim i innymi pankami przewracającymi Niemcy do góry nogami. Pod jego chorągwiami możesz zajść dalej, jak do kramu złotniczego. Huttenie! niech Willibald siądzie na mego konia, ja się o innego postaram, a wy odjeżdżajcie natychmiast.

— A moja matka, moja siostra? zawołał Willibald.

— Właśnie udaję się do Bokingen i postaram się przesłać ci wiadomości o nich. No, nie traćcie czasu, bo chociaż nas tu trzech i umiemy nieźle oganiać się mieczem, to przecież gdyby nas napadło z półtora tuzina drabów, nie dalibyśmy sobie rady.

Po chwili obadwaj siedzieli na koniach, wyprowadzonych z bliskiej jaskini i bezwłocznie udali się w drogę ku północy.

Pustelnik pozostał w swej grocie.

VI.

Na Ehrenburskim zamku, dziedzinie Franciszka Sikingena, panuje ruch niezwykły. Co chwila most zwodzony spada, a zbrojne hufce to konnych, to pieszych knechtów, pod dowództwem rozmaitych rycerzy, zwiększają zastępy mające na Trewir wyruszyć. Waleczny Steinach, mężny Gemingen, Melmstaed, Schaunenberg, Furstenberg, już tu ściągnęli, lecz jeszcze więcej i więcej wojsk jest spodziewanych.

Nowy cesarz Karol V-ty, zajęty wojnami we Włoszech z Franciszkiem I-ym królem Francyi, nie ma czasu zająć się obroną poddanych, jęczących pod przemocą trzystu, książąt, brabiów i baronów państwa. Wzruszony ich nędzą Sikingen, postanowił wystąpić przeciwko nadużyciom i zawezwał panów podobnie jak on myślących, do wspólnej sprawy.

Przymierze zawarte z nimi w Landau, na lat sześć, teraz właśnie miało wydać owoce.

Wyprawę miano zacząć wzięciem Trewiru, którego okrutny elektor słynął z nadużyć i ucisków.

Dnia 7 września, wyruszył Sikingen na czele połączonych sił pod miasto Trier, czyli Trewir; mieszkańcy przyrzekli otworzyć bramy, lecz elektor, miał czas wprowadzić dostateczną siłę, tak że zamiast otwartych bram, wódz sprzymierzonych zastał wymierzone działa, którego go morderczym przyjęły ogniem.

Sikingen usypał baterye i rozpoczął kulami rozbijać mury. Ściągały ku niemu wciąż nowe zastępy rycerskie i mieszczańskie, a nawet liczne hufce wieśniaków powiększyły jego siły. Lecz w parę dni potem, licznej armii zaczęło brakować żywności; a spodziewane posiłki od Filipa landgrafa heskiego i elektora palatyna, nie przybywały. Niespokojny Sikingen, wysłał Schauenburga z chorągwią konnych, dla dowiedzenia się o przyczynie tych zawodów, lecz bardzo niepomyślne otrzymał wiadomości. Obadwaj elektorowie oświadczyli się nie-

przyjaciołmi sprzymierzonych i niedopuszczali dowozu żywności do ich stanowisk.

Sikingen lękając się, aby nieprzyjaciel od razu z dwóch stron na niego nie uderzył, odstąpił od oblężenia Trewiru i cofnął się do warownego miasta Landstuhl, swojej własności.

Natychmiast rozpoczęto pracować nad umocnieniem warowni. Wódz wszędzie był sam obecnym i nieraz chwytał za oskard lub łopatę, dla dania przykładu żołnierzom w pracy. Willibald odznaczał się gorliwością i ściągnął na siebie oczy Sikingena, który go za to zrobił porucznikiem w nadwornej kompanii; co chwila spodziewano się napadu trzech połączonych elektorów.

Tymczasem rozjechali się wodzowie na wszystkie strony dla ściągnienia posiłków, lecz wielu panów widząc grożace niebezpieczeństwo, przerzuciło się na stronę nieprzyjaciół. Ulryk z Huttenu udał się do Szwajcaryi, ażeby tam zaciągnąć żołnierzy.

Napróżno jednak oczekiwano ataku. Elektorowie przez całą zimę pozostawili Landstuhl w pokoju, gotując się dopiero na wiosnę zadać cios stanowczy.

W początku kwietnia 1523 roku, nadciągnęły wojska nieprzyjacielskie i natychmiast kartany, to jest działa największego kalibru, zaczęły burzyć mury miejskie. Sikingen odpowiadał im żwawo z swych armat i niemałe zadawał szkody, lecz mimo to, wkrótce część murów się zawaliła, otwierając obszerny wyłom, przez który elektorowie mogli iść do szturmu. Oblężeni starali się go naprawić, ale nieustanny ogień, dzień i noc trwający, nie dopuszczał zbliżyć się w to miejsce. W nocy z dnia 7 na 8 maja, Franciszek, korzystając z ciemności nocnych udał się ku wyłomowi z paruset ludźmi, niosącemi długie belki, ażeby temi kłodami zarzucić wyłom; lecz jeszcze do połowy nie ukończono roboty, kiedy nieprzyjaciel ostrzeżony przez czaty, rozpoczął straszliwy ogień. Sikingen pomimo to, nie zaprzestał pracy, ale w tem kula działowa ugodziwszy w kłodę roztrzaskała ją w kawały, a odłam gruby, uderzywszy w pierś Sikingena, który dla ułatwienia poruszeń, złożył zbroję, zranił go tak niebezpiecznie, iż padł bez przytomności.

Willibald obok stojący poskoczył ku niemu i przy pomocy swych żołnierzy, zaniósł do komnat zamkowych.

Rana wodza była śmiertelną. Skoro się o tem załoga dowiedziała, upadł duch i zaczęto nalegać na Sikingena aby miasto poddał. Umierający wódz wysłał więc poselstwo do obozu elektorów, między innymi znajdował się także Willibald. Dowódzcy nieprzyjacielscy z chęcią przyjęli kapitulacyą, na mocy której wolno było całej załodze oddalić się z miasta. W godzinę potem zastępy elektorów weszły do miasta, a trzej panowie uroczyście pochowali zwłoki bohatera i płakali nad niemi, chociaż był ich nieprzebłaganym wrogiem.

Czy łzy nieprzyjaciół pochodziły ze szczerego serca, tego powiedzieć nie możemy, ale żal Willibalda był tak głębokim, że padł bez przytomności na posadzkę kościelną, kiedy ciało do grobowca rodzinnego spuszczano.

Nazajutrz, nie mając co robić w Landstuhlu, korzystał z zastrzeżonej przy kapitulacyi swobody i opuścił miasto.

VII.

Śmierć Franciszka Sikingen była nie tylko dla sprzymierzonych, ale dla całych Niemiec niepowetowanym ciosem. Związek przeciwko nadużyciom książąt i baronów upadł, lecz właśnie skutkiem tego niepowodzenia wybuchły później straszliwe wojny chłopskie, które kilkaset wsi i miasteczek obróciły w gruzy, i mnóstwo pracowitej wytępiły ludności.

Śmierć wodza rozstrygnęła także los Willibalda. Różana jutrzenka sławy, rozjaśniająca się tak pięknie dla niego nagle zgasła. Opuszczony, lękając się wracać do wioski, gdzie matka mieszkała, ażeby nie wpaść w moc Helfensteina, szedł ku granicy szwajcarskiej, gdzie się spodziewał napotkać Huttena.

Myśli o upadku twierdzy, której bronił, o matce, której tak dawno nie widział, znowu o nieznanej przyszłości, tak go mocno zajęły, iż szedł niezważając co się około niego dzieje. W tem nagle zbudził go z

zadumania tentent koni, podniósł głowę i z niezmiernem wzruszeniem poznał barona Helfensteina, zabiegającego mu drogę na czele dwóch jezdnych.

— Ha! to ty urwiszu, coś mi umknął z pod harapa! mam cię nakoniec! rzekł Helfenstein.

Krew uderzyła do głowy Willibalda, mimo strasznego położenia, nie stracił odwagi, lecz dobył miecza i zawołał:

— Widać, żeś zapomniał siły mej ręki; czy chcesz jej raz jeszcze spróbować?

Baron zsiniał z gniewu, zwróciwszy się do swych ludzi, krzyknął:

— Schwytać mi żywcem tego łotra, przywiązać do ogona końskiego: powlec do zamku, niech zginie w podziemiach z głodu i męczarni!

Willibald oparty o pień drzewa, z mieczem w ręku, oczekiwał natarcia.

Dwaj siepacze uderzyli, lecz mając nakaz ujęcia go żywcem, starali się tylko wytrącić mu oręż, albo zmęczeniem do poddania zmusić.

Lecz chłopak dzielnie robił bronią, jak błyskawica migała stał jego odpierając ciosy.

Baron mimo gniewu, podziwiał zręczność Willibalda, ale w końcu brakło mu cierpliwości, podskoczył więc z podniesionym mieczem, wołając:

— Czekajcie niezdary, ja położę koniec temu kuglarstwu.

I wymierzył olbrzymi cios w ramię chłopca, którym niezawodnie odciąłby mu rękę, gdyby na błysk stali Willibald nie skoczył w bok, a tak tylko odniósł dotkliwą ranę w lewą łopatkę.

W tem nagle pędem nadjechał olbrzymi mężczyzna, wołając:

— Trzymaj się chłopcze! Cóż to, trzech na jednego. — Oto mi rycerz bez czci i wiary. Ach ty bandyto!

I schwyciwszy za kark jednego z knechtów, zakręcił nim jak maczugą w powietrzu i tak gwałtownie palnął nim drugiego, że ten wyleciał z siodła, poczem rzucił go na Helfensteina, ale ten nie czekając ciosu wspiął konia ostrogami i umknął galopem.

Obcy rzucił na ziemię niepotrzebnego mu już żołnierza zeskoczył z konia i podpadł omdlewającego z utraty krwi Willibalda!

— Pokój Boży niech będzie z tobą!

Na to znane hasło Sikingena Willibald otworzył oczy i odpowiedział mu:

— Amen! Pokój z tobą bracie.

— Do licha! rzekł tamten, a więc swojemu uratowałem życie; lecz poczekaj, trzeba wprzódy ranę opatrzyć.

I z wprawą znawcy zacisnął jej brzegi, zatamował krew i obwiązał ranę.

Ale mimo to Willibald wpadł w omdlenie.

— Hej, wy ciury! krzyknął rycerz na pachołków, czy do sądnego dnia myślicie leżeć, dalej zrobić mi natychmiast nosze z gałęzi, a ruszajcie się prędzej, bo wam kości połamię.

Zbiry choć potłuczeni srodze, uwijali się jak mogli, a związawszy nosze, złożyli na nich chłopca.

— A teraz marsz, zawołał, a iść ostrożnie, bo jak mi się który potknie, a ranny najmniejszy jęk wyda, to wam pościnam łby jak makówki, pozbawiając tej przyjemności kata, który od dawna napróżno jej wygląda.

W gospodzie pobliskiej wioski, obcy złożył Willibalda na łóżku i na nowo rany opatrzył.

Mocna gorączka opanowała rannego, bredził po całych nocach, a towarzysz bezsennie je przepędzał, czuwając nad każdem poruszeniem chorego, nakoniec po dwóch tygodniach gorączka zwolniała. Willibald odzyskał przytomność i powoli zaczął przychodzić do siebie. Starania, odpowiednie pożywienie, nadewszystko zaś młodość przywracały mu siły.

— Chwała Bogu, rzekł nieznajomy widząc uśmiech na ustach Willibalda, myślałem, że się nie wygrzebiesz biedaku, to też piekielnik porządnie cię uczęstował.

— Niech wam Bóg za wszystko zapłaci, bo ja nie mogę, zawołał młodzian, chwytając rękę wybawcy i przyciskając ją do ust.

— Laryfary kochaneczku, wiem, że nie inaczej byś postąpił, gdybyś mię zastał w podobnych obrotach, a więc o wdzięczności ani słowa, powiedz mi raczej kto jesteś.

Willibald chętnie uczynił zadość temu żądaniu.

— A to szczególne zdarzenie, zawołał z zadziwieniem nieznajomy, a więc ocaliłem życie synowi wdowy Hoppinger, którego mi Wedel tak gorąco polecał.

— Wedel? cóż to za jeden, ja żadnego Wedla nie znam.

— Eh, znasz go doskonale, wszakże ci podobnie jak ja, ocalił życie na gościńcu Heilbrońskim.

— Czy być może? zapytał młodzieniec, a więc pustelnik nazywa się Wedel?

— Tak mój drogi, ale nie dziw się, żeś o nim nie wiedział, bo on lubi kryć się z swojem nazwiskiem. Powiedz mi, czy długo byłeś przy Sikingenie.

— Przeszło pół roku, aż do jego śmierci.

— A cóż teraz myślisz z sobą zrobić?

— Idę szukać Ulryka z Huttenu.

— Napróżno, mój bracie, i ten zacny mąż już nie żyje, umarł w Ufnau na wyspie Zurichskiego jeziora. Dwaj najszlachetniejsi obrońcy ludu niemieckiego zgaśli zbyt wcześnie, na nieszczęście cesarz Karol zajęty Włochami, nie ma czasu oddać się sprawom wewnętrznym cesarstwa i lękam się, aby straszne nie nastąpiły zaburzenia.

— Lecz powiedz mi, kto jesteś? mój szlachetny wybawco, zagadnął Willibald.

— Ubogi szlachcic, służyłem w wojsku cesarza i biłem się z Francuzami, posunięto mię nawet na kapitana; lecz na odgłos wojny podniesionej przez Sikingena wziąłem dymissyą, aby walczyć pod jego chorągwiami, ale przybyłem za późno, nazywam się Floryan Gajer. Za parę dni musimy się rozłączyć; ty idź do swej matki, ja ruszę na północ, może tam się zdarzy jaka wojenka, bo mi się już uprzykrzyła włoska sałata. Jeżeliby cię kiedy napadła chętka do wojaczki, to przybywaj do mnie, a przyjmę cię z otwartemi rękami, bo widzę żeś odważny i umiesz dobrze robić szabelką; nadewszystko żeś służył pod Sikingenem

— Czwartego dnia potem pożegnali się dwaj nowi przyjaciele.

Willibald pospieszał, o ile mu siły dozwalały, ku wiosce Bokingen, lecz ubocznemi ścieżkami, lękając się, aby nie wpadł baronowi w ręce.

Noc już zapadała, kiedy ujrzał pierwsze chaty wioski, niezatrzymując się dążył na drugi koniec, gdzie stała chata Erdmana. Ale któż opisze jego przerażenie, kiedy w miejscu zabudowań znalazł kupę zgliszczów!

Przez chwilę stał jak piorunem rażony, a potem skierował kroki ku gospodzie wioskowej, należącej do Jekleina Rohrbachera, wsławionego później okrucieństwami w wojnach chłopskich.

Ten opowiedział, jak uwięziono matkę i siostrę, jak później gdy Erdman chciał ująć strażnika i ułatwić ucieczkę niewiastom, baron dowiedziawszy się o tem i jego uwięzić kazał. Ostrzeżony wieśniak uszedł nocą, a Helfenstein za to kazał spalić jego chatę i cały zabrać dobytek. Nakoniec z polecenia barona uwięziono Elżbietkę gdzieś na południe, aby jeszcze bardziej dwom niewiastom dokuczyć.

Willibald chociaż przywiązany całą duszą do matki, postanowił jednak iść na wyszukanie siostry, która rychlejszej potrzebowała pomocy.

VIII.

Tymczasem nadszedł rok 1525, w którym straszliwa burza całe Niemcy wstrząsnęła

Miasta i wsie uciśnione przez paruset książąt, hrabiów i baronów rzeszy, którzy w drobniejszych swych krajach dopuszczali się jak największych nadużyć i prowadzili publiczny handel chłopstwem, nie mogąc się doczekać ukończenia wojen z Francyą, przybycia cesarza i wymiaru sprawiedliwości, porwały się do broni.

Tymczasem Willibald szukał swej siostry w południowej Szwabii, napróżno jednak przebiegł cały Czarny Las i okolice jeziora Konstancyeńskiego, nigdzie najmniejszego nie napotkał śladu.

W pobliżu wspomnianego jeziora, leżał zamek Hinkona brata Helfensteina, kilkakrotnie zachodził w okolice, zapuszczał się nawet w mury zamkowe, mając nadzieję, że tutaj najprędzej zgubę swą znajdzie. Dochodziły go wprawdzie pogłoski, że przed dwoma laty przywieziono z północy jakąś młodą kobietę, lecz co się z nią stało, niewiadomo, dawno już bowiem nikt z bliż-

szych barona o niej nie wspominał.

Willibald widząc, że się innym sposobem nie dowie, zaciągnął się do oddziału jezdnych barona, spodziewając się, że będąc na jego dworze, łatwiej zgubę swą odkryje. Wkrótce atoli Hinkon wezwany do boku cesarza udał się do Włoch, kędy i Willibald towarzyszyć mu był zmuszony, bo jeszcze dwa lata ugody nie przeminęły.

Wtem nadeszły okropne wieści z Niemiec, wielu rycerzy zagrożonych zniszczeniem włości, opuściło szeregi cesarskie, spiesząc na pomoc swoim. Hilkon Helfenstein lękając się o bezpieczeństwo brata podobnież uczynił i na czele kilkudziesięciu zbrojnych chłopow i ubocznemi drogami przedzierać się ku Weinsbergowi.

Tymczasem dziesięć tysięcy zbuntowanych pod dowództwem Wedle i Jekleina Rohrbachera otoczyło Weinsberg w którym zamknął się baron Helfenstein. Szeroko rozciągało się obozowisko i widać było przygotowania do szturmu. Zamek Helfenstein, otoczony innym zastępem chłopów, podobnież był zagrożony.

Właśnie oddział Hinkona dosięgnął szczytu wzgórza położonego naprzeciw miasta, gdy bramy otworzyły się i baron z kilkudziesięciu jeździcami wypadł dla odparcia szturmujących chłopów. Hinkon widząc to, rozkazał swoim z drugiej strony uderzyć i przeraziwszy niespodzianym napadem, odparł nacierających i wraz z bratem dostał się do miasta, podczas tej utarczki Willibald wpadł w ręce wieśniaków.

Tchnąc nieprzebłaganą nienawiścią ku rycerstwu, byliby niezawodnie roznieśli na spisach Willibalda, gdy na szczęście nie poznał go jeden z dawnych naszych znajomych, Kunz z Bokingen.

— Dajcie mu pokój, to syn Gabryeli, którą baron więzi na zamku, ten sam który mu przed trzema laty tak porządnie pięść ścisnął.

— Niech żyje syn wdowy! wrzeszczała tłuszcza.

— Będzie naszym dowództwem! wołali wieśniacy z Bokingen.

— Stawaj na czele! krzyczeli drudzy, możesz teraz zatańczyć z Helfensteinem!

— Prowadźcie mię do waszego wodza, rzekł Willibald ogłuszony krzykami. Tłum zbrojnych porwał za cugle konia i powiódł go przed namiot wodza na którym powiewał sztandar związkowych. złoty trzewik w niebieskiem polu.

Willibald zsiadł z konia, wszedł do namiotu i z podziwieniem ujrzał pustelnika Wedla.

— Czyś z deszczem spadł? zagadnął Wedel.

— Powracam z Włoch, odrzekł Willibald i opowiedział mu wszystkie swoje przygody.

— Nie pozostaje ci teraz, jak połączyć się z nami, rzekł Wedel, będziesz się mógł pomścić na baronie za dawne krzywdy.

— Dawno mu już przebaczyłem, odrzekł młodzieniec, i swoich krzywd osobistych mścić się nie myślę, obym tylko mógł wydobyć matkę i siostrę z jego rąk.

— Jakto? więc jesteś naszym nieprzyjacielem?

— Uchowaj Boże! ale postępek wasz wcale mi się nie podoba, całe Niemcy pogrążyliście w strumieniach krwi i łunie pożarów, a nadto przewiduję okropny koniec tej wojny i pogorszenie dotychczasowego położenia chłopów. Książęta na czele wojsk wyćwiczonych odniosą nad wami zwycięztwo, a tysiące życiem przypłaci ten nierozważny krok.

— Widzisz wszystko w zbyt czarnych kolorach, odrzekł wesoło Wedel, przesadzasz potęgę książąt. Przeszło dwieście tysięcy chłopow stoi pod bronią, potrafimy walczyć zwycięzko przeciwko książętom całych Niemiec, a tymczasem cesarz Karol nadciągnie z Włoch i wojskiem swym zgniecie ich zupełnie. Naówczas nie będzie w Niemczech, jak tylko jedno wielkie cesarstwo, bez żadnych pośrednich książątek i hrabiów.

— Otóż właśnie wszystko tłomaczysz sobie opacznie; zawołał Willibald. Powracam z cesarskiego obozu i wiem, że Karol jest w najwyższym stopniu na nas rozjątrzony. Raz, że zaburzenia tutejsze przeszkadzają mu do stanowczych zwycięztw we Włoszech, bo panowie rzeszy niemieckiej zamiast spieszyć pod jego chorągwie, muszą walczyć z zbuntowanymi chłopami. Powtó-

re cesarz uważa bunt wasz za najokropniejszą zbrodnię i polecił panom cesarstwa, ażeby z rozkoszanami obchodzili się bez najmniejszej litości i wycinali ich w pień.

Pobladła twarz Wedela na te straszliwe wieści, zamyślił się a potem rzekł:

— A więc lękasz się narazić swą głowę walcząc razem z nami.

— Śmierci nie lękam się wcale, lecz mam przekonanie, że nie tą drogą należy się starać o polepszenie stanu włościan, zamiast dojść do tego, pogrążycie ich w stokroć gorszą nędzę.

— Cóżbyś więc uczynił na naszem miejscu?

— Rozpuściłbym ludzi do domów i starałbym się, aby ze wszystkich stron Niemiec wyprawić proźby do cesarza o polepszenie bytu wieśniaków.

— Już za późno, rzekł Wedel, gdy wody rzeki wystąpią z łożyska, nie cofniesz ich słowem napowrót.

— A więc uwolnij mię.

— Z chęcią, żałuję tylko, że nie chcesz bić się w naszych szeregach. Dam ci jednak radę. W tej chwili oddział naszych pod dowództwem Jekleina Rohrbachera szturmuje zamek Helfenstein, biegnij tam, a niezawodnie znajdziesz w jego podziemiach matkę, od półtrzecia roku uwięzioną — dam ci oddział tęgich żołnierzy, staraj się na czas przybyć, bo Jeklein, jeżeli przedtem zamek zdobędzie, ani załogi, ani mieszkańców nie oszczędzi.

To powiedziawszy, Wedel wyszedł przed namiot i oddzieliwszy czterdziestu ludzi zbrojnych w strzelby i halabardy, pomiędzy któremi większa część była ze wsi Bokingen, oddał ich pod dowództwo Willibalda, któremu głośno wydał rozkaz udania się na pomoc szturmującym Helfenstein.

IX.

Tymczasem oddział z dwustu ludzi złożony szturmował do zamku. Baron udając się na obronę Weinsberga, pozostawił w zamku zaledwo trzydziestu żołnierzy na obronę. Załoga gromadząc kupę kamieni, naczynia z wrzącą wodą, gotowała się do zaciętej obrony.

Za przybyciem pod zamek, Willibald ujrzał Jekleina Rohrbachera, karczmarza z Bokingen, uwijającego się pomiędzy szturmującemi, który dowodził. Ustawił on najzręczniejszych strzelców naprzeciwko bramy i rozkazał im sypać nieustanny ogień na oblężonych, aby tym sposobem utrudnić obronę. Podczas gdy z dołu szedł żywy ogień, z murów słabo odpowiadano. Jeklein na czele najodważniejszych rzucił się z toporem w ręku do bramy. Pod potężnemi ciosami chwiały się dębowe podwoje. Wprawdzie udało się oblężonym zrzucić na szturmujących kilka koszów kamieni, lecz ci prawie żadnej nie ponieśli szkody, w chwili bowiem gdy kamienie spaść miały, strzelcy przestrzegali rąbiących bramę, którzy chronili się pod jej sklepienia, żołnierze zaś z powodu gęstych strzał nie mogli z potrzebną starannością zrzucić pocisków, kamienie więc padały bez skutków a jeden z obrońców życiem przypłacił zbyteczną śmiałość.

Tym sposobem dłuższa obrona stała się niepodobną, w kilkanaście minut brama poszła w kawałki, a głośny okrzyk szturmujących obwieścił jej upadek.

Jeklein rzucił się pierwszy, za nim poskoczył Willibald pragnąc wynaleźć więzienie matki, zanim tłum zwycięzców rozleje się po zamku. Nastąpiła rzeź straszna, wycięto jurgieltników barona bez miłosierdzia. Napróżno Willibald starał się powstrzymać rozjuszonych, zaledwo udało mu się dwie lub trzy ofiary wyrwać z rąk zwycięzców. Widząc, że jego usiłowania na nic się nie przydadzą, poskoczył do zabudowań zamkowych, ażeby przynajmniej niewiasty i dzieci ocalić. Skoro wpadł do przedsionka, baronowa z dwojgiem dzieci, otoczona kilkoma kobietami, upadła przed nim na kolana, błagając o darowanie życia.

— Nie lękaj się pani, zawołał Willibald, dopóki ja żyję, włos ci z głowy nie spadnie.

(Dokończenie nastąpi.)

RZEŹ W KROŻACH.

(Ciąg dalszy).

(Gdy naczelnik skończył czytać, kobiety zaczynają płakać i ocierać łzy, a mężczyźni błagalnie ukłoniwszy się smutno poglądają po sobie i na naczelnika. Jan mówi:)

Jan.

Panie uczyń łaskę! pozostaw nam ten drogi kościół! Póki żyć będziemy, nigdy pana nie zapomnimy! We dnie i w nocy będziemy błagać Boga, żeby panu tysiącznie wynagrodził. A jeżeli potrzeba będzie pieniędzy, to ostatnie sukmany sprzedamy i pieniędzy dostarczymy tyle, ile tylko będzie potrzeba. Tylko uczyńcie litość! pozostawcie nam ten kościół.

Naczelnik.

Nie mogę! nie mogę! Widzicie sami, że mam rozkaz od pana gubernatora, ażeby zapieczętować kościół i ten rozkaz muszę wypełnić. (*Odwraca się do assesora i mówi:*) Proszę rozkazać zakonnicom, żeby zaraz wyjechały do Kowna. (*Assesor idzie do Klasztoru.*)

(Lud kłania się naczelnikowi a Jan mówi.)

Jan.

Najpokorniej prosimy o łaskę! Jeżeli już nie możecie pozostawić nam kościoła, to choć dajcie nam kilka dni czasu, a my będziemy błagać litości u generał-gubernatora, będziemy szukać przyjaciół, którzyby wstawili się za nami do cara i przez nich będziemy błagać cara o pozostawienie nam kościoła.

Assesor.

(*Przychodzi z klasztoru, przybliża się do naczelnika i oddając mu uszanowanie mówi:*)
Zakonnice nie mogą wypełnić rozkazu, ponieważ są między niemi bardzo chore, które nietylko jechać, ale z łóżka wstać nie mogą.

Naczelnik *(do Assesora.)*

Zdrowe wysyłać zaraz do Kowna, chore mogą jeszcze pozostać. Ja o wszystkiem napiszę do gubernatora.

Kurtyna zapada.

AKT II.

SCENA I.

Jan, Bartłomiej i Maciej *(stają i rozmawiają.)*

Jan.

Źle jest z nami! Bieda nas nawiedza! Szkoda nam kościoła! Parafialny nasz kościół już jest bliski ruiny, już dawno trzeba było zacząć starać się o pobudowanie nowego. Teraz zaś i ten tak drogi sercu naszemu kościół chcą nam odebrać.

Maciej.

Musimy pojechać do hrabiego Zubowa, on chociaż Moskal, ale jest dobrym człowiekiem, może on wstawi się za nami do cara Możemy także prosić księcia Ogińskiego; on, jako katolik z pewnością nie odmówi prośbie naszej.

Jan.

To ty Maćku myślisz, że od cara będziemy mogli coś wyprosić?!

Maciej

Ja myślę, że będziemy mogli coś wyprosić! Jeżeliby tylko książę Ogiński i hrabia Zubow pojechali do cara i poprosili, ażeby nam kościół pozostawił, to car im nie odmówi i kościół nam pozostawi.

Bartłomiej *(zażywa tabakę itd. i mówi:)*

O' car, o co tylko prosić go będziemy, wysłucha nas i uczyni tak, jak będziemy chcieli.

Jan.

Daj Boże, ażeby się tak stało, ale ja się nie spodziewam, żeby car wysłuchał nas. i pozostawił nam ten kościół. Car nigdy

nie może się nasycić. Tysiące klasztorów, kościołów i szkół car pozabierał, a czy się nasycił? Ogromne obszary ziem darowanych kościołom i klasztorom pozabierał, a czy się nasycił? Ile to drogich historycznych przedmiotów zagrabił, a czy się nasycił? Nie! nie! tak wiele pozabierał, tak wiele zniszczył i wszystko jeszcze zabiera i niszczy, jak zwierz drapieżny, szukając czego, aby pożreć. Mnie się zdaje, że car nie odda nam kościoła i klasztoru, ani ziemi do kościoła należącej. Bo on, jak wilk nie wyrzuci smacznego kęsa z swej paszczy.

SCENA II.

Ciż sami i **Przełożona** *zakonnic klasztoru.*

Przełożona.

(*Przychodzi z klasztoru, stanąwszy przed Janem, Maciejem i Bartłomiejem, mówi:*)

Miejcie litość! jeżeli już nie nad nami, to nad kościołem naszym! Spieszcie do hrabiego Zubowa i do księcia Ogińskiego, błagajcie ich, aby się wstawili za nami do cara! Bóg wam za to wynagrodzi. Czyńcie wszystko, co tylko jest możebnem, ażeby pozostawiono nam kościół. My ze swej strony czynimy także, co tylko uważamy za pożyteczne. Posłałyśmy kilka próśb do cara i carycy prosząc o pozostawienie nam kościoła. Posłałyśmy kilka set rubli naczelnikowi, prosząc o wstawiennictwo. A gdy i wy dołożycie starań, to prędzej wyprosimy tę łaskę u cara. (*Zakrywa oczy i płacząc mówi:*) Tutaj przez długie lata pozostając, przywykłyśmy do tego kościoła i klasztoru! Tu już doczekałyśmy starości a teraz nakazują nam gdzieindziej wyjeżdżać i umierać. Wstawcie się za nami do cara, ażeby choć umrzeć nam tu pozwolił! A my do końca życia naszego będziemy się modlić za wami do Boga.

Jan.

Będziemy prosić Zubowa i Ogińskiego, ażeby się wstawili do cara. My sami zaś, będziemy czynić wszystko co tylko uznamy za potrzebne. Ale nie mam nadziei, ażeby ten tyran car, zlitował się i pozostawił nam drogi nasz kościół.

Przełożona.

(*Składając ręce na piersiach mówi:*) Janie! nie mówcie tego i bez tego serce boli. (*Wychodzi a za nią Jan i Maciej oddalają się*).

Bartłomiej (*chodząc po scenie mówi.*)

Jan za dużo złego mówi o carze. Gdyby on tylko był złym człowiekiem, powiedziałbym uriadnikowi, a ten pokazałby Janowi, gdzie pieprz rośnie. A mnie gdyby tylko dali rano i wieczór po kieliszku wódki i po jakim funcie tabaki na tydzień, to byłoby zupełnie dobrze. Prawda, że assesor albo uriadnik czasem nabije (*pokazuje ręką*) pięścią i tu i tu, albo kopnie nogą (*pokazuje nogą*) i tak, i tak. Ale to jest fraszka! Chłop jest przywykły do bicia.

Jan i Maciej.

(*Przychodzą i zatrzymują się przed Bartłomiejem.*)

Bartłomiej.

No i cóż? Uczyniliście wszystko, co było potrzeba?

Jan.

Tak jest! uczyniliśmy, gdyż już nie wiemy co dalej czynić!!

Bartłomiej.

Będzie wszystko dobrze! (*Zażywa tabakę i t. d.*)

SCENA III.

Ciż sami i **Uriadnik** (*krzyczą za sceną.*)

Sołtys! sołtys! sołtys!

Bartłomiej (*ogląda się i słucha.*)

Uriadnik (*nadchodzi, gdy Bartek jeszcze się ogląda i trzymając w ręku latarnię zaczyna bić Bartka, krzycząc.*)

Ty suki syn! Ciebie jeszcze dowołać się nie mogę! Ty powinieneś mnie szukać a nie ja ciebie!

Bartłomiej (*udając przestraszonego.*)

Słucham! słucham! Co tylko pan rozkaże, wszystko uczynię!

Jan i Maciej (*wychodzą.*)

(Ciąg dalszy nastąpi).